

16 GRUDNIA BÓG SAM UOBECNIA SIĘ

Fragment Pisma Świętego

Szedł zaś za Nim liczny tłum, bo widziano znaki

J 6,2a

W szóstym rozdziale Ewangelii Jana Jezus nawiązuje do dobrze znanego Żydom wydarzenia z historii Izraela – daru manny na pustyni. Manna była dla Izraelitów czymś więcej niż tylko pokarmem. W chwili głodu stała się znakiem Bożej troski i opatrności, a zarazem symbolem relacji między Bogiem a Jego ludem. Była darem, który podtrzymywał życie, ale jednocześnie pozostawał tajemniczy – czymś, co spadało z nieba i miało służyć tylko na dany dzień. Jednak Jezus ukazuje, że manna, choć ważna, była jedynie zapowiedzią czegoś większego. Prawdziwy chleb z nieba, który daje życie wieczne, to On sam.

Kiedy tłum przywołuje słowa: „Dał im zjeść chleb z nieba”, Jezus koryguje ich rozumienie. Manna nie była darem Mojżesza, lecz Boga Ojca. Była pokarmem przemijającym, danym na czas wędrówki przez pustynię. Jezus

natomiast mówi o chlebie, który nie tylko zaspokaja głód fizyczny, ale daje życie na zawsze. Tłum nie od razu rozumie te słowa. Ich myślenie wciąż krąży wokół znaków materialnych – chcą chleba, który można widzieć i dotknąć, chleba „na zawsze”, który zapewni im bezpieczeństwo. Jednak Jezus prowadzi ich dalej: „Ja jestem chlebem życia”. To zdanie wszystko zmienia. Manna była cieniem, a Jezus jest rzeczywistością. On sam jest darem Boga dla świata, pokarmem, który daje życie wieczne.

Ten dialog z tłumem pokazuje trudność w przejściu od tego, co zewnętrzne, do tego, co duchowe. Tłum podobnie jak ich przodkowie szuka Boga w znakach, które można zobaczyć i doświadczyć fizycznie. Jednak manna, choć cudowna, miała swoje ograniczenia. Zaspokajała głód tylko na chwilę i musiała być zbierana codziennie. Jezus natomiast daje pokarm, który nie ginie. Jego słowa wskazują na głębszy wymiar. Kiedy mówi, że daje chleb z nieba, który daje życie, nie mówi już o czymś materialnym. Mówi o sobie. To On jest tym chlebem.

W tym momencie Jezus zapowiada dar Eucharystii. Mówi: „Kto spożywa ten chleb, będzie żył na wieki”. Nie chodzi już o pokarm fizyczny, ale o Jego ciało, które stanie się prawdziwym chlebem dla wierzących. To nie jest tylko symbol, ale rzeczywistość. Jezus daje siebie jako pokarm na życie wieczne. W odróżnieniu od manny, która była znakiem troski Boga w konkretnym momencie historii, Eucharystia jest darem na zawsze. Jest pokarmem, który łączy przeszłość z przyszłością. Ta scena pokazuje także, że tłumowi trudno jest wyjść poza stare schematy myślenia. Ich pragnienie jest dobre – chcą chleba, który da życie, ale szukają go tam, gdzie nie można go znaleźć. Jezus uczy ich, że zbawienie nie jest czymś, co można zdobyć własnym wysiłkiem, ani czymś, co dotyczy tylko doczesności. Bóg daje ten dar darmo, a przyjąć go można jedynie przez wiarę.

Dla współczesnego człowieka ten obraz manny i chleba życia ma głęboki sens. Tak jak Izraelici musieli codziennie zbierać mannę, tak my potrzebujemy codziennie karmić się Bogiem. Nie wystarczy raz doświadczyć Bożej obecności. Jezus jest darem, który trzeba przyjmować każdego dnia. Jest chlebem, który daje siłę w duchowej wędrówce, prowadząc nas ku życiu wiecznemu. Jezus ukazuje także różnicę między tym, co przemijające, a tym, co trwa wiecznie. Manna była potrzebna na chwilę, ale nie dawała pełni życia. Wciąż pojawia się pokusa, by zadowalać się tym, co ziemskie, chwilowe, namacalne. Jezus przypomina, że prawdziwe życie zaczyna się wtedy, kiedy szukamy Boga, który sam jest źródłem życia. Chleb, który daje Jezus, to Jego obecność, Jego słowo i Jego ciało. Kto go przyjmuje, żyje już nie tylko dla doczesności, ale dla wieczności.

Na koniec Jezus daje pewność: „Kto wierzy we Mnie, ma życie wieczne”. To życie nie jest czymś odległym, ale jest dostępne tu i teraz. W Jezusie Bóg daje nam siebie w całości. W historii manny, w słowach Jezusa i w Eucharystii widzimy jedną, spójną drogę zbawienia. Manna była znakiem troski Boga. Jezus jest pełnią tego znaku – prawdziwym chlebem z nieba, który zaspokaja najgłębszy głód człowieka i daje życie, które nie zna końca.

Gesty Mszy Świętej

Znak krzyża pateną i kielichem

Eucharystia to dla mnie moment, w którym stoję twarzą w twarz z wielką tajemnicą bliskości Boga, ale również z dramatem ludzkiej grzeszności, którą ta bliskość pociąga za sobą. Kiedy wykonuję znak krzyża pateną i kielichem przy przygotowaniu darów – znak pochodzący z Mszy Trydenckiej – dostrzegam w tym geście nie tylko symbol ofiary, ale również prawdę o tym, jak moja grzeszność może wpływać na bliskość z Chrystusem.

Ta bliskość, którą Jezus oferuje każdemu z nas w Eucharystii, nie jest łatwa ani bezpieczna. Bliskość, która jest zaproszeniem do prawdziwego zjednoczenia, zawsze wiąże się z ryzykiem – zarówno dla nas, jak i dla innych. Dając się zbliżyć do drugiego człowieka, otwieramy się na miłość, ale także na możliwość zranienia. To my, w naszej grzesznej naturze, możemy ranić tych, którzy są blisko nas. I choć to Chrystus nas zaprasza, to nasza grzeszność sprawia, że przez nasze słabości i błędy narażamy Go na cierpienie. To my, przez nasze decyzje i nieuporządkowane pragnienia, możemy zadać Mu ból.

Podobnie dzieje się w relacjach międzyludzkich. Kiedy zbliżamy się do drugiej osoby – czy to w przyjaźni, czy w małżeństwie – narażamy siebie nawzajem na ryzyko zranienia. Każda bliskość, zwłaszcza ta głęboka i pełna, nie jest wolna od trudności. Miłość w małżeństwie, w przyjaźni, nie jest miłością bez ryzyka. Kiedy stajemy wobec drugiego człowieka z otwartym sercem, narażamy się na jego słabości, ale i on może doświadczyć naszych. Jeśli nie będziemy dbać o drugą osobę, nasze niedostrzeganie jej potrzeb, nasze egoistyczne wybory mogą sprawić, że ona również poczuje się zraniona. Możemy ranić innych przez nasze zaniedbanie, przez egoizm, przez zło, które nosimy w sobie.

To samo dzieje się w relacji z Chrystusem. Jego zaproszenie do bliskości, Jego ofiara, która na Krzyżu łączy nas z sobą, nie jest tylko zaproszeniem do przyjemności, ale również do odpowiedzialności. Każde moje grzechy, każde zło, które popełniam, narażają Chrystusa na cierpienie. On nie „rani się” przez moją grzeszność w sensie dosłownym – to ja, przez moje grzechy, ponownie Mu zadaję ból. On nie cierpi jako Bóg – On wycierpiał konkretną moją grzeszność, gdy umierał na Krzyżu. Kiedy nie żyję w pełni Jego miłości, kiedy nie otwieram się na to, co On mi oferuje, w jakiś sposób zadaję Mu ból, bo On na nowo daje się ukrzyżować w każdym moim nieodwróconym grzechu, w każdej chwili mojego oddalenia.

Eucharystia w tym kontekście jest dla mnie momentem głębokiego uświadomienia sobie tej odpowiedzialności. Zbliżając się do Chrystusa, nie mogę zapomnieć, że to moja grzeszność sprawia, że Jego ofiara nie jest tylko wydarzeniem historycznym, ale ciągłym, ponawianym zbliżeniem się do mnie. To ja, w każdym moim grzechu, ponownie skazuję Go na cierpienie. Jednak to w tym cierpieniu On daje mi największy dar – przez swoją ofiarę, przez tę bliskość, którą mi ofiarowuje, On przemienia moje grzechy w szansę na zbawienie. To On, mimo moich błędów, nie odwraca się ode mnie, lecz wciąż zaprasza do siebie.

Chrystus wiedział, że zbliżenie się do nas – zbliżenie się do mnie – koniecznie wiązać się będzie z cierpieniem. On nie chciał tego cierpienia, ale chciał tej bliskości ze mną – dlatego był gotów cierpieć, jeśli to jedyny sposób, by wyciągnąć do mnie rękę.

Słowa Mszy Świętej

Sanctus, sanctus, sanctus

Święty, święty, święty Pan Bóg zastępów

To jest moment, w którym cała wspólnota Kościoła, zarówno na ziemi, jak i w niebie, zwraca się bezpośrednio do Boga. Kiedy wypowiadam te słowa, pochylam głowę. Wydaje się, jakby z każdą sylabą bramy nieba się otwierały, a ja staję w obliczu obecności Boga, Jego świętości i chwały. To wyrażenie pochodzi z proroka Izajasza (Iz 6,3), gdzie aniołowie w niebie wołają: „Święty, święty, święty jest Pan Bóg zastępów”. Podkreśla to całkowitą,

nieograniczoną świętość Boga, którego nie sposób ogarnąć umysłem, ale jednocześnie zbliżamy się do Niego w tej chwili, oddając Mu cześć.

Hosanna na wysokości

W tym miejscu, po pierwszej części, zmienia się perspektywa. Aniołowie wychwalają Boga w niebie, a teraz my, jako wspólnota Kościoła, wchodzimy w tę modlitwę. „Hosanna” to słowo pełne radości i uwielbienia, wyrażające naszą gotowość przyjęcia Jezusa, który przychodzi do nas jako Król pokoju. Właśnie tutaj, zachęceni przez Boga Ojca, śpiewamy o nadejściu Jego Syna – podnosząc głowę i zwracając się do Niego.

Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie

Te słowa wprowadzają nas w zrozumienie misji Jezusa. On nie idzie sam z siebie, ale jest posłany przez Tróję Świętą. Warto zwrócić uwagę na częstą pomyłkę – nie mówimy „idziesz”, bo Jezus nie jest tylko w tym momencie z nami. On jest Tym, który „idzie” w imię Pańskie, w imieniu Boga Ojca. To oznacza, że to On wypełnia misję zbawienia ludzkości.

Dla mnie ten moment Eucharystii to doświadczenie mistyczne, pełne chwały Boga, ale także głębokie uświadomienie sobie, że Jezus, posłany przez Tróję Świętą, przychodzi w każdej Eucharystii, by być z nami. Czuję, jakby cała przestrzeń wokół nas stawała się pełna nieba, a my stawaliśmy się częścią tej chwały, czci i uwielbienia. W tych słowach „Święty, święty, święty...” zawiera się nie tylko pochwała Boga, ale także zaproszenie do wejścia w Jego obecność, w tę świętość, którą nie tylko wyśpiewujemy, ale przeżywamy w pełni. Uświadamiam sobie obecność wielkiego tłumu aniołów i świętych – nawet wtedy, gdy na Mszy jest tylko garstka ludzi. Mówię, że to jest dla mnie przeżycie mistyczne, bo tak bym chciał... Niestety, tylko na nielicznych Mszach mogę naprawdę doświadczyć tych zastępów śpiewających przy otwarciu bram nieba. Niemniej jednak zachowuję głęboko w pamięci te przeżycia, by karmić się nimi w tych Mszach Świętych, w których pozwalam sobie na rozproszenia.

Święta Teresa z Kalkuty

Miłość nieprzyjaciół

Przez pewien czas czułam się rozdarta, jakbym stała na granicy dwóch światów, niepewna, którą drogą powinnam pójść. Z jednej strony Chrystus

wyciągał mnie, przyciągał mnie do siebie w sposób, jakiego nie potrafiłam opisać słowami – chciałam trwać przy Nim, czułam, że tylko On daje mi sens. Z drugiej strony, były wciąż te wewnętrzne napięcia, które rozrywały moje serce. Czułam, że moje miejsce w zakonie staje się coraz bardziej niepewne. Czułam pragnienie, by uciec, wyrwać się z tego wszystkiego – tak bardzo bolały mnie relacje z niektórymi siostrami, które wydawały się odległe, chłodne, może nawet niechętne wobec mnie. Wydawało mi się, że tam, gdzie nie ma miłości, nie ma sensu być. W sercu pojawiło się pragnienie ucieczki – nie wiedziałam, jak długo jeszcze będę w stanie znosić tę atmosferę, które mnie otaczała. Czułam, że nie pasuję, że nie potrafię kochać tak, jak wymagałby tego zakon, jak wymagałyby tego siostry. Miałam wrażenie, że mnie nie rozumieją, że jestem po prostu obcą, której obecność nie przynosi niczego dobrego. W tych chwilach samotności, w których zderzałam się z rzeczywistością w zakonie, chciałam po prostu wyjść, wyjść z tej sytuacji, gdzie nie potrafiłam znaleźć miejsca, które by mi odpowiadało.

Ale właśnie wtedy, w tej rozterce, Bóg nie pozwolił mi uciec. On nie pozwalał mi odejść – coś w moim sercu trzymało mnie, jakby mówiło mi: „Nie, nie teraz. Jeszcze nie czas. Musisz jeszcze coś zrozumieć”. To była dla mnie jakby wewnętrzna walka – z jednej strony pragnienie wyjścia, a z drugiej chęć trwania, by poznać prawdziwą miłość, która nie polega na ucieczce, ale na zbliżeniu się, na przewyciężeniu tego, co trudne. Ostatecznie zrozumiałam, że to nie miejsce było problemem – to ja musiałam zmienić swoje serce. Wtedy przypomniała mi się św. Teresa od Dzieciątka Jezus – jej życie, jej świętość, jej sposób kochania w trudnych relacjach. Zrozumiałam, że prawdziwa miłość nie zawsze polega na tym, by być kochanym, ale by kochać, szczególnie tych, którzy są najtrudniejsi do kochania. Musiałam nauczyć się kochać te siostry, które wydawały mi się obce, chłodne, niechętne. To był dla mnie bardzo trudny proces – wyjście ze strefy własnego egoizmu, z przekonania, że miłość ma warunki. Musiałam kochać, mimo wszystko, nawet jeśli wydawało mi się, że ta miłość nie jest odwzajemniana. Musiałam kochać nie po to, by dostać coś w zamian, ale po to, by dawać miłość w najczystszej postaci.

Moje gesty, moja modlitwa – te wyraziste chwile bliskości z Bogiem – stały się dla nich tym, co budziło opór. Zamiast przyjąć moją próbę zbliżenia, siostry reagowały na to zniecierpliwieniem, a nawet z wyraźną irytacją. Każdy dzień, w którym starałam się okazać im serce pełne miłości, zdawał się potęgować napięcie między nami. Moje modlitwy przed Najświętszym Sakramentem, które miały być wyrazem mojej oddania, wcale nie były dla nich pocieszeniem. Wręcz przeciwnie – zauważyłam, że moje pragnienie zanurzenia się w obecności Boga wydawało się wywoływać w nich

irytację. Tak jakby moje zaangażowanie w modlitwę przypominało im o czymś, czego same nie potrafiły lub nie chciały dostrzec. Z każdym dniem czułam, jak ta sprzeczność staje się coraz bardziej przytłaczająca.

Jednak to, co początkowo wydawało się nie do zniesienia, w końcu zaczęło przekształcać się w coś zupełnie innego. Nie od razu, ale z dnia na dzień zaczęłam dostrzegać, że właśnie w tej trudnej atmosferze, pełnej nieporozumień i napięć, Bóg kształtował we mnie cierpliwość i wierność. Zamiast uciekać od tych trudnych chwil, wytrwałam, nie pozwalając, by pragnienie akceptacji i wygody zdominowało moje serce. Wierność – ta, która nie szuka natychmiastowych owoców, ale trwa w przekonaniu, że każdy trud wznosi mnie ku Bogu – pozwoliła mi dotrzeć do chwili, w której poczułam pokój. Pokój, który nie pochodził z ludzkiego uznania, ale z pewności, że moja modlitwa i wierność miały sens, że nie chodziło o to, by być lubianą, ale by kochać, niezależnie od okoliczności.

Prawda zasiana w sercach

Nic nie wzrusza jak odruch ludzki człowieka

Opowieść wigilijna, Charles Dickens

Opowieść Dickensa, choć z pozoru skierowana do dzieci, pozostaje w pamięci na całe życie, kształtując nas w sposób, który często jest trudny do uchwycenia. Przeczytałem ją w dzieciństwie, kiedy świat wydawał się prostszy, ale to właśnie ta historia, nie oferując łatwych odpowiedzi, uświadomiła mi wiele o konsekwencjach naszych działań. Pokazuje, jak ważne jest, by dostrzegać innych, nie zamykać się w egoizmie i by wreszcie nie czekać ze zmianą życia. Wzbudza ciepło, bo po latach wracając do niej i widzę, jak mocno wpłynęła na moje życie.

— Duchu — odezwał się Scrooge — pokaż mi śmierć ściśle związaną z miłością; inaczej ów pokój straszny, któryśmy niedawno opuścili, wciąż będzie gnębił myśl moją. Duch powiódł go przez kilka dobrze mu znanych ulic. W drodze Scrooge pilnie oglądał się na wszystkie strony w nadziei, że zobaczy swą postać, ale daremnie. Weszli do domu biednego Boba Cratchita. Zastali tam matkę z dziećmi. W pokoju panowała cisza. Zwykle swawolne maleństwa siedziały teraz cichutko w kącie, nie spuszczać oczu z Piotra, schylonego nad otwartą księgą. Matka i starsza córka szyły.

„On zaś wziął dziecko i postawił wśród nich”. Scrooge słyszał te słowa wyraźnie. Widocznie Piotr je odczytał głośno w chwili, gdy Duch ze Scroogiem przestąpili próg pokoju. Lecz dlaczego chłopiec przerwał tak nagle czytanie? — A ja pamiętam, jak chodził szybko, nawet bardzo szybko z... maleńkim Timem na plecach... — I ja także — szepnął Piotr. Wszyscy kolejno powtórzyli: — I ja także. — Bo przecież Tim nie był ciężki — rzekła matka, pochylając się nad robotą. — Przy tym ojciec go tak kochał, tak bardzo kochał, że nie czuł nawet jego ciężaru. Ale zdaje mi się, że ojciec wraca...

Bob wszedł do pokoju, a dzieci wdrapały się na jego kolana. Wszyscy starali się mu usłużyć, a Bob z radością opowiadał o serdeczności siostrzeńca Scrooge'a. — Oczywiście — mówił Bob — nie mogłem ukryć tego przed nim. To taki miły, dobry człowiek. Powiedział mi: „Szczерze panu współczuję, panie Cratchit i proszę oświadczyć również moje serdeczne ubolewanie zacnej małżonce”. Nawiasem mówiąc, nie pojmuję: skąd on wie o tym? — O czym, mój drogi? — Żeś ty zająca i dobra kobieta. — Wszyscy o tym wiedzą! — zawołał Piotr. — Dobrze powiedziane, mój chłopcze — pochwalili go ojciec. — Mam nadzieję, że tak jest istotnie, a nawet jestem o tym przekonany. „Szczерze wam obojgu współczuję, moi państwo”, powtórzył siostrzeniec Scrooge'a i dając mi swój bilet, nadmienił: „Oto mój bilet. Może będę mógł panu być w czymkolwiek użyteczny, proszę zwrócić się pan do mnie z całą otwartością”. Byłem wprost oczarowany, nie jego propozycją, nie myślą o tym, że może nam istotnie dopomóc, lecz jego uprzejmością. Wielce mnie tym ujął.

Scrooge poczuł, jak w sercu zaczyna budzić się coś nowego. Nagle, z wielką mocą, uderzyła go myśl: Jest jeszcze czas, by to wszystko zmienić. I choć odczuwał niepokój, poczuł w sobie ogromną radość na myśl, że może jeszcze wszystko naprawić. Że może przygotować się na Boże Narodzenie, dać innym to, co najcenniejsze — miłość i dobroć. Obudził się w swoim łóżku z przerażeniem, ale zaraz potem ogarnęła go fala radości i ulgi. Żyję! Jestem tutaj! Mam szansę na nowo! Scrooge wyskoczył z łóżka i natychmiast zaczął planować, jak najlepiej przygotować się na Boże Narodzenie, jak dzielić się swoją radością i hojnością z innymi. Uśmiechając się do siebie, powiedział: — Będę obchodził to święto w sposób, w jaki nigdy dotąd nie potrafiłem. Przygotuję się, będę dawać z serca, bez żadnych zastrzeżeń. To mój czas!